

Tomasz Kozłowski  
Wydział Studiów Edukacyjnych  
Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa, Poznań

## Prywatność w *high speed society*

Potrzeba posiadania jest czymś naturalnym. To właśnie z tego prostego powodu mówi się, że komunizm sprzeczny jest z porządkiem przyrody. Nie da się z człowieka wykorzeń pragnienia jakiejś formy własności. Kulturowo można natomiast determinować zakres tych potrzeb. Dalekowschodnie kultury kolektywne każą koncentrować się na relacjach społecznych i wyzbywać przywiązania do wartości materialnych, mimo to nawet buddyjscy mnisi mają całą paletę „swoich” rzeczy. Z drugiej strony, kultura konsumpcyjna z prawa do własności prywatnej czyni nieomal dogmat, każąc wierzyć, że jesteśmy tym, co posiadamy, a dokładniej, czego doświadczamy. Mniejsza jednak o to, która z tych skrajności jest bardziej pożądana. Obie i tak respektują odwieczne prawo do posiadania (większej bądź mniejszej ilości czegośkolwiek). I na tej podstawie możemy przypuszczać, że podobnie niekwestionowaną potrzebą jest prawo do prywatności (którą dla potrzeb tego tekstu utożsamiam będę również niekiedy z intymnością). Jest to wszak inna forma posiadania, jej przedmiotem jest czas i przestrzeń, elementy szczególne, którym nadawana jest dodatkowa wartość: osobista.

### **Prywatność i wysokie prędkości**

Żyjemy jednak w czasach, w których wartość ta – paradoksalnie nieco, bo przecież mówi się tak często, że żyjemy w epoce narcyzów – bywa dewaluowana. Społeczeństwo i kultura wysokich prędkości uczą nas niejako, że nie mamy zbyt dużo czasu na intymność, choć z drugiej strony, o czym będę mówił w późniejszych częściach tekstu, walor prywatności chyba nie do końca potrafimy nadawać, rozpoznawać i wykorzystywać.

Opozycja prywatne-publiczne ewoluowała w Europie przez kilkaset lat. Wzorzec funkcjonowania społecznego w domu i poza jego granicami kształtował się drogami bardzo pokrętnymi, w sposób niezmiernie interesujący. Rzecz można, że jeszcze 300 lat temu publicznie można było zachowywać się stosunkowo swobodnie, czego najlepszą egzemplifikacją były spektakle teatralne, notorycznie przerywane przez dokuczającą publiczność, głośno komentowane, nastawione na silną interakcję z odbiorcą (wydarzenia tego rodzaju bardziej przypominały współczesne występy zespołów kabaretowych).

Dopiero w XIX w. umocnił się silny podział na działających aktorów i bierną, cichą publiczność. Kultura wiktoriańska na spółkę z umacniającym się w zbiorowej wyobraźni freudyzmem, zapinająca nieprzyzwoitości na ostatni guzik, wbudowała ludziom przekonanie, że najmniejszy ruch może zdradzić niecne, potępiania godne intencje. Wówczas też zaczęło narastać przekonanie o istotnym rozdźwięku, jaki zaznacza się między aktywnością publiczną, widoczną wszystkim i przez wszystkich podzielaną, a tą prywatną, zarezerwowaną dla najbliższych, odrębną. Życie prywatne uczono się cenić, czemu z pomocą przychodziła choćby spuścizna Jana Jakuba Rousseau, zdaniem którego społeczeństwo nie zajmuje się niczym innym jak destrukcją tego, co w człowieku – w szlachetnym dzikusie – najlepsze. Jeżeli więc możemy się choćby na chwilę odciąć, warto robić to z głową, z korzyścią dla siebie i najbliższych.

Choćby z tych powodów strefa najbliższa każdej jednostce wychowanej w kulturze Zachodu, cieszy się szczególnym miejscem i wartością. Wszak to równowagi między życiem prywatnym i zawodowym Europejczycy zwykli sobie życzyć przy różnych

okazjach i o takiej właśnie homeostazie marzą. Problem w tym, że równowagę tę coraz trudniej osiągnąć. *High speed society* i jego prawidła powodują, że o wiele łatwiej „osiągnąć” stan umysłowej entropii aniżeli upragnionej prywatnej nirwany.

Z psychiczną entropią jest niemal dokładnie tak samo, jak z tą opisywaną w teorii termodynamiki. Jest ona miarą postępującego chaosu. Umysł, jako że jest elementem rzeczywistości fizycznej, podlega takim samym prawidłom: jeżeli nie dostarcza się mu „z zewnątrz” energii, pogrąży się w nieładzie. Nieład ten jest wprost proporcjonalny do ilości bodźców, które go otaczają. Przeciwnością entropii psychicznej jest stan przepływu, wzbogacającego doświadczenia polegającego na doskonałym zgraniu umiejętności, jakimi dysponuje jednostka z trudnością zadania, jakie przed nią postawiono. Pogrążenie się w wykonywanym zadaniu potrafi być wówczas inspirującą czynnością, która przynosi wiele radości (może to być zarówno hobby, jak i praca; zdaniem psychologów pozytywnych stan *flow* może być teoretycznie osiągnięty na bardzo wiele sposobów, co zależy od nastawienia).

Przepływ wymaga jednak podstawowego komponentu: skupienia. Skupienie zaś trudno osiągnąć w sytuacji, kiedy normą staje się niekontrolowany przyrost informacji. W temu podobnych sytuacjach pojawiają się emocje i odczucia przeciwne do *flow*: stan zrezygnowania, braku poczucia wartości i sensu wykonywanego zadania, wrażenie stagnacji i braku rozwoju, rozbiegana uwaga, frustracja, w końcu agresja, a nawet stany depresyjne.

Nie wiem, na ile trafne są moje intuicje, w ostatnich miesiącach odnoszę jednak wrażenie, że owa „struktura”, która zmusza wielu do „jechania na oparach” i uporania się z dziesiątkami zadań „na wczoraj”, uparcie szuka dna, jakby chciała się przekonać, ile jeszcze członkowie społeczeństwa wysokich prędkości są w stanie znieść, jak bardzo jeszcze można dokręcić śrubę i pozbawić życia prywatnego. Zapewne każdy, kto ma choć jednego znajomego, który musiał odwołać urlop ze względu na kolejne zadanie, albo który właśnie się rozwiódł, bo druga połówka stwierdziła, że już dawno zwariował (przynosząc kolejne zwaliste segregatory pracy do domu), choć raz zastanawiał się ile to jeszcze potrwa. Na Zachodzie do języka powszechnego przeszedł już termin „*back to work blues*”, czyli chandra związana z powrotem do pracy, która niszczy drugą połowę urlopu, ewentualnie każdą niedzielę. Pracujemy coraz więcej, mówimy coraz szybciej, mamy głębokie zaległości w nauce spędzania wolnego czasu i cieszenia się życiem prywatnym – to nie opinia, to fakt.

Mam wrażenie, że – przynajmniej pewna część społeczeństwa – właśnie odbija się od tego dna. Może nie rzuca pracy, może nie masakruje szefa, ale zaczyna reorganizację priorytetów. Skąd to wrażenie? Z najbliższego, prywatnego – *par excellence* – podwórka. Gdy zaczynałem moją przygodę z bieganiem, co miało miejsce jakieś dwa lata temu – podczas godzinnego biegu mijałem może dwoje zapaleńców. Teraz mijam ich dziesiątki. Rzecz można, że jest to kolejna moda, kolejne znamię potrzeby budowania prestiżu na tle mas (zwłaszcza, że osób parających się bieganiem w porównaniu z całą resztą wciąż jest stosunkowo niewiele), ale zaryzykowałbym twierdzenie, że jest to moda, która jednocześnie stanowi nieświadomą, bardzo korzystną terapię behawioralną.

Bieg ma w sobie coś z medytacji: jednostajne tempo, odgłos podeszew uderzających o asfalt, rytm oddechu, skupienie na przemierzanej przestrzeni i temu podobne wrażenia powodują, że bieg w miarę upływających tygodni staje się satysfakcjonującym, odprężającym przeżyciem (zaczyna mieć wiele wspólnego z *flow*). Zalety tej terapii polegają na tym, że człowiek, niezależnie od tego, czy poddaje się modzie, czy wypływa to z jego faktycznej potrzeby, uczy się alternatywnego sposobu kultuwowania swojej prywatności.

Skłonny jestem sądzić, że tego rodzaju przygoda spowodować może trwalsze zmiany w nastawieniu do życia. Jeśli podobne „nawrócenia” pojawiają się i w innych formach aktywności i przyczyniają się do częstszego przeżywania przepływu – tym lepiej.

### **Prywatność czy ekshibicjonizm?**

Pozostaje jednak wciąż pewien komponent, który może niepokoić. Nawet jeśli pojawia się pewien społeczny trend do tego, by w jakiś sposób „odbudowywać” swoją prywatność, musi on w dalszym ciągu napotykać na niebywale silną wręcz modę na ekshibicjonizm, który rozpanoszył się dzięki popularności portali społecznościowych. Analizując ich treść z łatwością można dojść do wniosku, że wartość sfery prywatnej budowanej przez długie dziesięciolecia może nie tyle znikła, ile bardzo się zmieniła.

W dobie dokumentowania swojego życia i swoich przeżyć w sposób teoretycznie dostępny ogółowi pytanie o to, co jest prywatne a co publiczne po raz kolejny domaga się jasnej odpowiedzi i jest ona niezwykle trudna. Facebook widział już najróżniejsze przykłady przeżyć stricte prywatnych. Zdjęcia USG płodów. Narodziny, śluby, domowe zacisza. Listy najważniejszych książek w życiu, refleksje i motta, udostępniane aforyzmy reprezentujące „głębie” naszych codziennych przemyśleń i tak dalej. A to przecież nie koniec. Ucichł hałas wokół okularów Google, ale wciąż zdaje mi się, że to cisza przed burzą, że i ten wynalazek będzie mieć swoje dłuższe lub krótsze 15 minut. A jeśli tak, zupełnie realna jest wizja gigantycznej serwerowni, w której składować będzie się życia poszczególnych ludzi z perspektywy pierwszoosobowej, może pozbawione konkretnych treści przemyśleń, ale niepozbawione rozmów i ognisk skupiających ich uwagę. Te dane są zbyt ważne, by ich nie zapisywać. Nie wierzę, że nie znajdzie się magnat ciekaw potencjału marketingowego, jaki się w tym kryje. Nie wierzę, że użytkownicy Google Glass nie będą dzielić się swoją „perspektywą” z szerszym ogółem, nie mówiąc już o jej udostępnianiu czy wręcz odczuwaniu (w miarę postępu technologii). Czy i wówczas będzie sens mówić o jakiegokolwiek prywatności? Czy uprawnione jest wyciąganie wniosku, że technologie internetowe z biegiem lat oduczają nas prywatności?

Odnajdywanie przestrzeni intymności w dzisiejszych czasach wydaje się oznaczać częściową przynajmniej rezygnację z takich rozwiązań technologicznych. Lubię przy takich okazjach wracać do książki Anny Kamińskiej „Miastowi”, w której w dwudziestu paru rozmowach przedstawione są nowe sposoby na życie. Bohaterowie tych historii rezygnują z korpo-życia i przenoszą się na wieś wcielając w czyn marzenia mas o sielance z dala od miejskiego zgiełku, w zgodzie z naturą i najbliższym otoczeniem, gdzie szczęście dają realne, namacalne owoce własnej pracy (najczęściej wiążącej się z jakąś formą mniej lub bardziej zaawansowanej agroturystyki) i satysfakcjonujące relacje społeczne.

W opowieściach tych praktycznie nie pojawiają się wątki kontaktu „ze światem”, kontekst społeczeństwa informacyjnego wydaje się praktycznie nie istnieć. Internet służy wyłącznie do promocji swoich usług czy wyrobów. Jest – innymi słowy – potrzebny i to w ograniczonym zakresie do funkcjonowania całego przedsięwzięcia, nie jest zaś w żadnym razie zapychaczem czasu, źródłem rozrywki etc. Ich opowieść *de facto* jest opowieścią o życiu prywatnym. I z tego właśnie względu zaciekawia.

### **Życie społeczne w dobie wszechjawności**

Jako istoty z natury społeczne mamy biologicznie wręcz zakodowaną dążność do poszukiwania tzw. informacji strategicznych, czyli danych, które bywają niewygodne dla innych, przy pomocy których można kogoś zaszantażować. Nasi odlegli przodkowie, którzy nauczyli się zdobywać taką wiedzę, zyskiwali przewagę. Stąd ponadczasowa skłonność do plotkowania i interesowania się życiem prywatnym innych ludzi. Tendencja

ta doskonale rzecz jasna uwidacznia się w postaci buszowania po profilach społecznościowych znajomych i przeglądania ich galerii, gustów, wszelkiego rodzaju tagów i innych treści.

Problem jednak w tym, że natura zaprogramowała nas do tego celu doposażając w cały ekwipunek zdolności psycho-społecznych. Informacji na temat innych nie poszukiwaliśmy w internecie, ale w grupce bliższych i dalszych znajomych. Poznawaliśmy swoje otoczenie wchodząc w rozliczne relacje społeczne, tworząc koalicje, umacniając kręgi znajomych, kultywując wspólne rytuały. Internet płaszczyznę tę praktycznie całkowicie usuwa, podsuwając nam informacyjną śmietankę, która pobudza nasze zainteresowanie praktycznie zerowym kosztem, uzależniając nas od miłej treści. Kultywowanie życia zbiorowego jest dla ludzi silnie motywującym bodźcem. Działa na nasze neuronalne struktury nagradzające, przez co przebywanie z innymi i zdobywanie kluczowych danych staje się – obok ważnej składowej przetrwania – przyjemne. Dziś, w dobie internetu na korzyść zdobywania pseudoistotnych treści zrezygnowaliśmy częściowo z tego, co wcześniejszym pokoleniom dawało radość z życia: z faktycznego przebywania z innymi w fizycznej, niezapośredniczonej medialnie, rzeczywistości.

### **Prestiż prywatności**

Powrót do prywatności oznacza w dzisiejszych czasach nie tyle odłączenie się od świata zewnętrznego, ale częściowe życie wbrew jego zasadom. Otoczenie oczekuje dzielenia się swoją prywatnością w czasie rzeczywistym. Na całkowitą rezygnację z podobnych rozwiązań naturalnie stać niewielu, niemniej sama potrzeba posiadania jakiegoś skrawka prywatności jest silna. Dzisiejsza prywatność budowana jest zatem z... kolejnych decyzji konsumenckich, których zadaniem jest umacniać w nas samych przekonanie, że żyjemy według zasad ustalanych przez samych siebie. Wrażenie budowania równowagi zawodowe-prywatne podtrzymywane jest zatem konwulsyjnymi relacjami z coweekendowych imprez, czy galeriami z urlopów.

Sposób przeżywania życia prywatnego w znacznym stopniu zależny jest od tego, czy czynimy z niego tak zwaną wartość pozycjonującą. W języku psychologów i ekonomistów wartości pozycjonujące to takie, które wyznaczają nasz szczebelek na drabinie społecznej. Ludzie są gatunkiem zdolnym pozycjonować się przy pomocy praktycznie wszystkiego (w przeciwnym razie nie byłyby możliwe takie zjawiska jak moda). Stąd też gonimy za większym domem, samochodem, atrakcyjniejszym partnerem, ponieważ właśnie te „dobra” decydują o poziomie, który reprezentujemy w swoim otoczeniu. Skłonny jestem przypuszczać, że Facebook wykorzystywany jest jako narzędzie promowania przez tych, którzy swoją prywatność postrzegają w kategoriach pozycjonujących, jako sposób istnienia w swojej grupie odniesienia. Prywatność jest wówczas manifestowanym standardem, jest współdzielonym komunikatem (stąd wrażenie, że większość użytkowników internetu wie, że życie szczęśliwe, pełne, słoneczne, radosne, dostatnie i oczywiście duchowo głębokie). Pozostali, dla których prywatność nie ma waloru pozycjonującego albo nie używają portali społecznościowych, albo wykorzystują je w innym celu (np. komunikacji z fizycznie niedostępnymi znajomymi, którzy zarzucili inne formy komunikacji).

Przypuszczam, że to właśnie w tych grupach prywatność, czy tym bardziej intymność, rozumiana po staremu, jako obszar zarezerwowany dla siebie i najbliższych, do którego wpuszcza się innych przy szczególnej okazji, rządzi się zasadami, które współczesnych, ekshibicyjnych technologii po prostu nie uwzględniają. W moich rozmowach z ludźmi rzadziej korzystającymi z internetu zauważam mniejsze potrzeby komunikowania wszem i wobec (obojętnie: swoich przemyśleń, swojego statusu w związku, ostatnich

wydarzeń w życiu, gustów etc.). Widzę za to nastawienie na bardziej tradycyjne formy kontaktu (np. via telefon), deklaracje utrzymywania satysfakcjonujących i długich relacji społecznych również są częstsze.

### **Prywatność autotelika**

Drażąc perspektywę psycho-pozytywną, a więc paradygmat poszukujący związków pomiędzy zróżnicowanymi czynnikami zewnętrznymi a stopniem odczuwania szczęścia (dobrostanu) jednostki, można dokopać się twierdzeń wskazujących na znaczenie osobowości autotelicznej. Wiele badań wskazuje na to, że osoby wykazujące wiele niezależności postrzegane są jako bardziej pociągające, interesujące, a także szczęśliwsze. W świetle tych prawideł uzasadnione staje się stwierdzenie, że jednostki bardziej niezależne od zdania innych na swój temat statystycznie częściej odczuwają psychiczny dobrostan.

Sądzę, że tych kilka spostrzeżeń wystarczy, by powoli zaczął wyłaniać się w miarę spójny portret psychologiczny osoby potrafiącej się w dzisiejszych czasach cieszyć swoją prywatnością. Jest to osoba zdystansowana względem najnowszych trendów, nieszczególnie podatna na pokusy wszelkich nowych technologii, z mocno ugruntowanym hobby, raczej asertywna, zorganizowana, ze znacznymi zasobami cierpliwości i silnej woli, zadowolona ze swoich relacji społecznych, ceniąca sobie swój wolny czas, raczej nieprzynosząca pracy do domu. Portret ten, rezultat pewnych założeń i intuicji, prawdopodobnie nie we wszystkich aspektach trafny, niezbyt pasuje do profilu typowego konsumenta, który przez socjologów opisywany jest często jako ucieleśnienie dorosłego dziecka: rozemocjonowanego, poniekąd egoistycznego narcyza, uzależnionego od opinii innych, nastawionego na kontakty raczej tymczasowe, nieposiadającego specjalistycznej wiedzy w żadnym zakresie, raczej powierzchownego, pozbawionego stałych zainteresowań, za to kolekcjonującego wrażenia i informacje, zależnego od mód i trendów.

Czy oznacza to zatem, że życie prywatne przeewoluowało w dzisiejszych czasach do atrybutu osobowościowego? Wiele na to wskazuje. Przede wszystkim, czas prywatny nie jest już wartością samą w sobie, nie kultywuje się go tylko (a może aż) dla samego siebie. Jest on dobrem, którym należy, warto się chwalić. Prawidłowość tę ilustrował internetowy mem, na którym zamieszczono postać załamane chłopaka, który – ponieważ nie wziął z domu telefonu z aplikacją mierzącą spalanie kalorii i monitorującą jego trening, a jednocześnie zamieszczającą szczegółowe sprawozdanie z całej tej procedury na jego profilu internetowym – w całowiecznym wysiłku przestał widzieć sens. Pojęcie czasu prywatnego i sfery tylko dla siebie zmienia więc znaczenie, jest to znaczenie na tyle skomplikowane, że i trudno definiowalne. Czy jest to zatem pewnego rodzaju przeżytek? Czy można mówić o czasie-bez-innych, skoro przez większość dnia jest się on-line?

### **Publiczność jak metafizyka**

Do żargonu medioznawców na stałe przeszły słowa McLuhana o globalnej wiosce. Metafora ta może iść jednak znacznie głębiej, aniżeli tylko na poziomie prędkości komunikowania i zniwelowania barier fizycznej odległości. Ponownie wracamy do czasów plemiennych z jeszcze innego powodu. Tak jak życie prywatne w formie typowej dla XX w. zostało kiedyś wynalezione i ukształtowane, tak samo w społecznościach pierwotnych długo kształtowały się sfery *profanum* i *sacrum*, porządki życia społecznego na dobre oddzielone w społecznościach już osiadłych.

Antropologia kulturowa notuje wiele kultur niepiśmiennych, w których sfery *sacrum* i *profanum* przenikają się z powodzeniem każdego dnia, praktycznie 24 godziny na dobę. Nie ma czasu świąt w takim rozumieniu, w jakim postrzegamy je dziś. W pewnym sensie każdy dzień i każda noc, każda czynność, słowo, myśl, przeniknięte są pierwiastkami metafizycznymi. Na bieżąco towarzyszą nam duchy przodków, nieustannie musimy pamiętać o odnawianiu zaklęć, idąc na polowanie prosimy dobre duchy o pomoc i tak dalej...

Dziś sfera *sacrum* – ku przerażeniu kaznodziei – ma się bardzo krucho, ale podobne zjawisko przenikania się sfer widać właśnie na przykładzie życia prywatnego z publicznym. Nawet będąc sami, teoretycznie możemy w każdej chwili upublicznić dowolny element naszej prywatnej rzeczywistości, mało tego, wiele zdarzeń, przedmiotów, myśli, opinii analizowanych jest przez nas pod kątem znaczenia, jakie zyskają będąc upublicznionymi. Jeśli tylko rachunek ten jest na plus – prawdopodobieństwa dzielenia się nim z otoczeniem wzrasta.

Przenikanie to jest również świetnie widoczne na – teoretycznie – każdej stronie www, które wszak możemy sami, prywatnie przeglądać. Wiele z nich jest na stałe skojarzonych z Facebookiem poprzez setki usianych kciuków, czekających niczym w startowych boksach do „lajkowania” i „szerowania”. Możliwość przemiany treści prywatnej w publiczną jest stale obecna. Jest to tendencja stosunkowo łatwa, można jej szybko ulec, niemal uzależnić się od konieczności współdzielenia swojego życia. Wydaje mi się, że dochodzimy w tym miejscu do kolejnego paradoksu współczesności. Niegdyś to życie publiczne/zawodowe wymagało od swoich uczestników określonych „wydatków energetycznych”. Dziś jest inaczej. Bycie dla innych i on-line staje się standardem. To właśnie przebywanie w strefie całkowicie „zdepublicznionej” będzie wymagać nieprawdopodobnego wysiłku i samozaparcia.

**Tomasz Kozłowski**, socjolog, adiunkt w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Komentator świata popkultury, trendów konsumpcyjnych i entuzjasta filozofii *slow movement*.